№ 23.

WARSZAWA

d. 28 maja (9 czerwca)

1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dolegliwości życia tego są jak kwiaty, które uprzedzają owoc chwały, a krew, którą wylewamy, jest namaszczeniem, które nas uświęca dla nieśmiertelności. (Śty Grzegorz.)

MIESIĄC MARYI.

Na górach bladły promienie słońca,
Późna wybiła godzina,
Kwiecień się swego doczekał końca,
Nazajutrz maj się zaczyna.
Z schyloną głową, w dworskiej komnacie,
Co kosztownością jaśniała,
Poważna pani we wdowiej szacie,
Łzą rzewną lica skrapiała.
— Boże mój Boże! wołała z cicha,
Zkąd gniewu twego przyczyna?
Z źrenicy mojej łza nie osycha,
Nad błędnym żywotem syna.
On to niepomny na rady matki,
Głos życzliwości odrzuca,
Marnuje młodość, traci dostatki,
I cienie przodków zasmuca.
Marjo! ty grzesznych matko łaskawa,
Ulituj się mej tęsknoty,
Niechaj znów ujrzę mego Wacława
Wróconym na łono cnoty.

Oh! jam tak biedna, wśród tego świata
Dni moje pędząc samotnie,
W wdowiem sieroctwie na stare lata
Ból mój uczuwam stokrotnie:
Ani mnie cieszą wdzięki natury,
Ni świat uśmiechnie się do mnie,
Bo na mem czole wieczyste chmury,
I wieczna pustka wkoło mnie.
W chwili radości, albo frasunku,
Co czasem dręczy mię srogo,
Ja tylko jedna nie mam ratunku,
Nie mam przy boku nikogo.
Syn mój jedyny już mię nie kocha,
Pociechy nie sprawia żywej,
Więcej go nęci rozrywka płocha,
Niż te łzy matki sędziwej.
—Albož to nie wiesz, rzekł kapłan stary,
Co cicho wszedł do komnaty,
Że Bóg największej godzien ofiary,
Wśród ciernia każe rwać kwiaty.
On to głów ludzkich policzył włosy,
Żaden bez niego nie spada,
Bo według siły wymierza ciosy,
Ojcowską dłonią nam włada.

Oto maj nadszedł, miesiąc Maryi,
Pośpiesz więc w kmiotków twych kole
Tej nieskażonej, rajskiej lilii
Przedstawić gorzką swą dolę;
Ona w umyśle twojego syna
Prawdziwe światło roznieci,
I nim go ziemska zatraci wina,
Gwiazda mu zbawcza zaświeci.
Ty swą opiekę rozszerz wśród wioski,
Niech dłoń twa biednych ocali,
A wierz mi szczerze, że twoje troski
Sam Bóg od ciebie oddali.
Czy słyszysz głos ten, co po dolinie
Czystemi dźwięki odbrzmiewa?
Błogoż to głos ten do duszy płynie,
I tam w niej wiarę rozgrzewa.
Za chwilę ludzie ze wszystkich chatek
Zabiegi ziemskie porzucą,
I jednogłośnie Najlepszej z matek
Świętą pieśń chwały zanucą.
A ona wszystkim ta matka droga,
Co jej wzywają opieki,
Ubłaga pomoc u tronu Boga
I z łez osuszy powieki;
Bo serce Maryi ten zdrój pociechy,
Dla wszystkich stoi otwarte,
Ona grzesznikom śle żal za grzechy,
I losy koi żażarte,
A troski nasze niosąc przed Pana,
Nadziei używa nowej;
Spiesz więc wraz zemną córko kochana,
Do stóp tej niebios Królowej.

—

Tu biedna matka ze łzawym wzrokiem,
Trosk chmury spędziwszy z czoła,
Za swym doradcą powolnym krokiem
Szła do wiejskiego kościoła.
Tam w obraz Maryi wśród świec płonących
Oczyma patrząc łzawemi,
Skrzydłami wiary w modłach gorących
Wzbiła się zdala od ziemi.

* * *

Zwykłą koleją znowu rok minął,
W przeszłości rzucony fale,
I znów ów miesiąc światu nadpłynął,
Maryi święcony chwale.
I znów przed starym prostym obrazem
Z czcią rzewną, schylonem czołem
Dziedziczka wioski z włościany razem,
Swe modły wznosiła społem.
Tuż przy niej klęcząc wśród wiernych tłoku,
Błagając Boga za winy,
Korzył się we łzach przy matki boku
Ów Wacław syn jej jedyny.
On to cierpieniem ciała złożony,
Gdy się w błąd z błędu miał zwrócić,
Wrócił niebawem w ojczyste strony,
Aby ich więcej nie rzucić.
Poznawszy marną wartość dóbr świata,
Matczyną boleść osładzał,
I zmarnowane młodości lata
Poczciwą pracą nagradzał.
I teraz matka ze łzą w źrenicy
W obraz utkwiwszy spojrzenie,
Śle rzewne dzięki Boga-Rodzicy
Za dziecka swego zbawienie.
Bo serce Maryi to zdrój pociechy,
Przybytek wszystkim otwarty,
Ona grzesznikom śle żal za grzechy,
I los łagodzi zażarty.
Nieśmyż jej nieśmy z schyloną skronią,
Upadłszy przed jej ołtarze,
Z dymem kadzideł i z kwiatów wonią
Skruszone serca swe w darze!

Stanisław Wilk.

W rozkosznej dolinie, w Lubelskiem leżała ładna wioseczka zwana Zadolin, z pięknym kościołkiem i figurą Męki Pańskiej nieopodal dworu stojącą. Wielu w niej było porządnych gospodarzy, co mniej w karczmie, a więcej przy jakiej użytecznej pracy w domu czas spędzali.

U jednego z takich i najzamożniejszego, służył za parobka Stanisław Wilk, raźny chłopak i do tańca i do rożańca, jak to powiadają. Zorał, zasiał, ugór podprawił, licho wie kiedy i jak, paliło mu się w ręku i do pracy biegł ze śpiewką i wracał ze śpiewką; znała go też wieś cała, a szczególniej dziewczęta, bo dzielnie w karczmie przy święcie oberka wywijał i dziwnie piękne śpiewał krakowiaki. Dziewuchy lgnęły doń jak muchy do miodu, lubiły z nim tańczyć i jak Stacha w gospodzie nie było, nie było śmiechów, zabawy. I nie jedna radaby była zostać żoną Stachową, chociaż był ubogi sierota, i nad sukmankę, czapkę rogatkę z pawiem piórkiem, pięknych ocząt i ładnych wąsików, innego nie miał bogactwa.

Ale chłopak bałamut i do tej i do owej stroił koperczaki, a co nawięcej, jak ludzie mówili, ulubił sobie Ankę Zabawską córkę wyrobnicy, co po za wsią siedziała w opuszczonej chałupce naprzeciw drzwi cmentarnych stojącej, i z matką bywało chodziła w najmy, jakoto, na wiosnę siać i sadzić, latem z sierpem i grabiami, w zimie prać do poblizkiego miasteczka, i tak żyły, aby nie umrzeć z głodu i jakotako wieść życie nędzne. Anka serdecznie pokochała Stacha, chociaż matula nie raz nie dwa mawiała jej: Oj dziewczyno nie wierz mu, bo to bałamut, zdradzi cię, oszuka i na pośmiewisko ludzkie odda. Ale Anka słowom matki wierzyć nie chciała, lecz gdy ją posłuchy coraz częściej dochodzić poczęły, że Stach i z tą i z ową wywijał w gospodzie, do której ona nigdy chodzić nie chciała, że z tą i ową obiecuje się żenić, Anka, gdy przyszedł, ze łzą w oku wymawiała mu zdradę, ale się składał, że to wszystko nie prawda, i że ją tylko kocha serdecznie.

Może i kochał, bo któż tam przejrzy głębię serc ludzkich!.. Ale jak we wsi zaczęli go wyśmiewać, że kocha wyrobnicę, że na gospodarstwie osiądzie w pustej bez okien chałupie z sowami, że biedę sobie kupi na całe życie, biorąc ubogą dziewczynę, że mógłby ożenić się dobrze, wziąć córkę gospodarską i nuż mu raić i tę i ową, to tak oszałamili nie dobrego Stacha, że już rzadziej Ankę odwiedzał, a nareszcie przestał ją zupełnie widywać i zaczął upatrywać między dziewczętami żonki dla siebie, z którąby wziął bogactwo. Nareszcie upatrzył sobie córkę zamożnego gospodarza ze wsi sąsiedniej, i dalejże biegać do niej, a Anka schła jak kwiatek bez słońca i rosy, i łzawem okiem patrzała we wrota cmentarne, gdzie to kończą się ludzkie biedy, bóle serdeczne i łzy osychają; zazdrościła jak kogo ziemią przysypali, i pieśń pogrzebową nad mogiłą zanócili, ów ostatni podarek, który nie dobrzy ludzie dać jeszcze zimnemu trupowi mogą. A we wsi smieli się z Anki, dziewuchy zazdrosne palcami ją wytykały i chichotały między sobą, widząc Ankę smutną, bladą, i pytały jej, a gdzie Stach?.. pono się z bogaczką żeni?.. A sierota tłumiła żal, co jej biedne serduszko uciskał, na nieuczciwe sąsiadek słowa i tylko Bogu boleść swą zwierzała.

Jak rdza, co pada na żelazo i niszczy go i kruszy, tak boleść serce ludzkie łamie i kaleczy. Uboga Anka płakała i płakała, i nareszcie ciężko zachorowała. Biedna matka nie wiedziała co począć, sprowadzała różne lekarki, bo na doktora nie było grosza w chałupie, ani na pożywny pokarm dla biednej dziewczyny, a ludziska, coby mieli pomódz ubogiej wyrobnicy, która przy chorej córce zarobić nie mogła, to rozpuściwszy języki, dalejże pleść licho wie jakie baśnie na biedną chorą dziewczynę. Oj straszna to kara czeka takich złośliwców, co szarpią cudzę sławę niewinnie, bo Bóg to obrońca i wielki mściciel sponiewieranej niesłusznie niewinności.

— Słuchajno, rzekł raz stary gospodarz do Stacha radującego się z dziewczętami w gospodzie, Anka tam przez ciebie niedobry chłopcze umiera, a ty tu śmiejesz się, a Bóg co powie na to?.. Upomni się kiedyś u was krzywdy sierocej i płaczu wdowiego.

Stach na te słowa zamyślił się, ale gdy mu przyszła bogata dziedziczka na pamięć, o której zamyślał, a skrzypki nad uchem raźnego oberka zadudniały, tak i wypłoszyły smutne myśli z głowy i żal przemijający z serca i dalej porwawszy hożą dziewuchę, furnął przez izbę.

Nareszcie dnia jednego zabrawszy się ze swatami, poszedł do nowej oblubienicy i rodziców, prosił o jej rękę, którą mu przyrzekli. Późno już w noc wracał z zaręczyn i gdy wyszedł za wieś od narzeczonej, smutno mu się jakoś około serca zrobiło, i Anka jak nigdy stawała w myśli i słowa starego gospodarza powiedziane w gospodzie, a coś w ucho gadało mu i gadało: Stachu, Stachu, coś ty zrobił, ubogąś dziewczynę zdradził i oszukał, zostawił na śmiechy i urągowisko ludzkie, zakrwawił jej serce i grób jej wykopał, a biedną matkę na wieki długie utopił w boleści!

Uląkł się zdrajca chwilowo tych słów, które mu w ucho kładło poczciwe sumienie, co jeszcze rade z nad przepaści złego wyrwać zbłąkanego człowieka i oddać go cnocie i Bogu; otrząsnął się i chcąc wszystko zagłuszyć w sobie, począł śpiewać krakowiaki, myśleć o weselu, o przyszłem szczęściu i dostatkach, i tak śpiewając i radując się przyszłością, zbliżył się do cmentarza, około którego przechodzić musiał. Słabe światełko zaświeciło mu w oczy z chatki ubogiej i opuszczonej Anusi, w której ona chorą

leżała prawie martwą i zbłąkanemi oczyma od czasu do czasu wiodła po izbie i w przystępie gorączki wołała Stacha, wymawiała mu zdradę, to wyciągała doń słabe rączęta i znów cichła i znów napół umarła leżała na ubogiej pościołce. Stanął, spojrzał w okienko i zabiło mu serce, które źli ludzie zbałamucili; obrócił się, ujrzał poza sobą cmentarz. Strach go jakiś ogarnął, skoczył i począł lecieć biegiem do wsi i tak przelatując około parkanu cmentarnego, spłoszył sowy i puszczyki, które z szumem przelatywały mu ponad głową i krzyczały przeraźliwie; podwoił kroku i przestraszony dopadł stodoły, w której zwykle sypiał i rzucił się jak nieżywy na siano.

Tak to wszystko trwoży człowieka złego sumienia, dość dlań sowy, dość małej ptaszyny, co trąci skrzydełkiem o zwiędły listek, dość szmeru gałązki lichego krzaczka, lub szumu małego strumienia, wszystko go trwoży i widma przedstawia, wskazując zawieszoną nad nim karzącą prawicę Boga, której on sam winą zaślepiony dojrzeć nie może, a raczej nie chce: bo stérał cnotę, zaparł się jej i shołdował szatanowi, który mu serce przed nią zamknął, a myśli w próżności światowej utopił. Stach przyszedłszy do siebie z przestrachu, chciał się pomodlić, ale mu się słowa nie składały, modlitwa tylko plątała na ustach i obciążona grzechami winowajcy podnieść się ku niebu nie mogła; i nie zmówiwszy modlitwy, silił się usnąć ale nadaremno, bo odbiegł od niego rozgniewany stróż Anioł co człeka czystego serca do snu kołysze i czuwa nad uśpionym. Przewracał się i przewracał, a ciągle mu stała przed oczami Anka umierająca, nareszcie usnął, ale przebudził się spotniały, w gorączce, z oczami zabiegłemi krwią, i ze strasznym smutkiem na sercu, podniósł się z posłania i wziął co prędzej do pracy, by rozpędzić ciężący smutek; ale mu jakoś tak zręcznie jak zawsze iść nie chciało.

— Co wam to? spytał gospodarz, wchodząc na podwórko, gdzie parobczak zaprzęgał woły, żeście tacy mizerni i smutni, czyście chorzy?.. To zostańcie w domu lepiej i niech wam moja kobieta przyrządzi jakie leki, ona to znachorka.

Parobczak ni to, ni owo gospodarzowi odpowiedział i zabrawszy się, poszedł z pługiem w pole, ale nie jak zawsze śpiewając; kto go też spotkał, pytał:

— Stachu, a wam co, nie śpiewacie?.. czyście zdumnieli, że się z bogatą żenicie?..

Chłopak tylko kiwał głową i nic nie mówił. Tu znów przez te i owe okienko wyglądały doń dziewuchy, jedna śmiejąc się wyszczerzyła białe jak perełki ząbki, druga coś mu tam na migi pokazywała, trzecia patrzyła za nim, póki jej nie zniknął z oczu.

Ale Stach mało na to baczył, i nie tak jak dawniej, co nachichotawszy się pierwej z niemi, dopiero co prędzej biegł za wołami w pole. I od tej pory ciągle był smutny; winszowali mu ludzie dobrego ożenienia, on na ich słowa nie radość czuł w sercu, ale mu się ono dziwnie jakoś ściskało i zaraz stawała Anka na myśli. Poszedł do narzeczonej i tam spokoju, ni radości nie było, a gdy mówili o weselu, to zdało mu się, że siedzi na rozpalonem żelazie.

Co to było, może mnie zapytacie mili czytelnicy?.. Oj wszystkim nam tak bywa, moi przyjaciele, gdy jak Stach nieuczciwie postąpimy. Szczęście, bogactwa, honory, których człek nierozsądny całe życie pragnie i goni za niemi, źle nabyte nie rodzą zadowolenia, bo sumienie, ten stróż naszej cnoty i najsurowszy, najsprawiedliwszy nasz sędzia, stawiając nam co chwila przed oczy wór złota podłością zdobyty, nie daje śmiele spojrzeć na świat, gdzie Bóg chciał mieć tylko cnotę.

Nareszcie zbliżyła się owa niedziela, w której Stanisław miał dać na zapowiedzie. Nie wiedział co począć, taki go niepokój ogarnął, chciałby z niego przed kim się zwierzyć, bał się, aby go ludzie nie wyśmieli... co tu począć? Nareszcie przychodzi mu na myśl stary Maciej Grzela dziadek kościelny i grabarz zarazem cmentarny, co już blisko lat czterdzieści kołatał dzwonem Zadolińskiego kościoła, a na cmentarzu siła mogił usypał krewniakom i znajomym. Cała wieś lubiła Macieja, bo stary nie z jednego pieca chleb jadał, był rozumny, skory do dobrej rady; to też czy kto w biedzie w smutku, w ciężkiem jakiem zmartwieniu, biegł do Grzeli, który mu po swojemu przełożył, poradził, napomniał, pocieszył, a czasem w potrzebie to i datkiem obdarzył, wszyscy też go tatulem zwali. Otóż przypomniawszy go sobie, rzekł:

— Pójdę do tatula, jak on mi nie poradzi w tym strasznym smutku, to chyba przyjdzie się utopić.

I wstał raniuteńko w wigilią zapowiedzi, i pobiegł co prędzej do Grzeli, którego już zastał zamiatającego kościół.

— A co was tu tak rano sprowadza? rzekł Grzela do wchodzącego.

— Bieda tatulu, odpowiedział parobczak, czybyście mi w niej nie poradzili, bo inaczej to przyjdzie zginąć.

— A cóż takiego? zapytał stary.

Tu Stach opowiedział swoje kłopoty, zacząwszy od miłości dla Anusi, z tej jak drudzy namówili go do innej, jak uzyskawszy rękę córki gospodarskiej, nie może sobie znaleść pokoju, i nareszcie zakończył słowami:

— Tatulu, powiedzcie co to jest? bo jak mi Bóg miły chyba oszaleję, jak mi co nie poradzicie?

— Co to jest? powtórzył stary, oparłszy się na miotle, patrząc ostro Stachowi w oczy, co to jest?.. Złe sumienie chłopcze, ono to tak tobie świdruje w sercu i pokoju w dzień i w nocy nie daje.

— A cóż to ja takiego złego zrobił? zapytał parobczak, przecieżem nikogo nie zabił?

— Coś zrobił, zawołał rozgniewany Grzela, co? Czy to trzeba zabić, aby sumienie obrazić... a nie zabiłeś spokoju ubogiej dziewczyny, dlatego żebyś wziął bogatą? Nie zabiłeś jej sławy w językach złych ludzi?.. Nie zabiłeś szczęścia jej matki, co?..

— Ja nie wiedział, rzekł parobczak jąkając się, że to tak źle Grzelo.

— Nie wiedział!.. widzisz go, krzyczał tatulo, nie wiedział! Słuchajno, spojrzałbyś ty Ance śmiało w oczy, lub jej matce, gdybyś je spotkał?

Stanisław się zastanowił i po chwili odpowiedział:

— Chyba nie, Grzelo.

— A widzisz, oto masz najlepszy dowód, żeś względem nich zawinił, i źle zrobił z obrazą sumienia. A ludziom patrzysz ty teraz śmiało w oczy od czasu jakieś zawiódł dziewczynę?

— Oj nie Grzelo, odrzekł.

— Ot widzisz, mówił dalej tatulo; kto ludziom patrzeć śmiało w oczy nie może, to łotr wierutny, zdrajca. A ot na ten obraz cudowny rzekł dalej, wskazując mu wizerunek Matki Najświętszej, możesz ty dziś śmiało spojrzeć, i przed nim uklęknąwszy pomodlić się jak dawniej serdecznie?

Stach podniósł oczy na wizerunek święty i spuściwszy je nagle, powiedział:

— Nie Grzelo nie mogę, bo mi się jakoś widzi, że Matka Najświętsza gniewnie na mnie spoziera. O i modlić się już dawno nie mogę, bo co zacznę modlitwę, to jej dokończyć nie mogę.

— A co ptaszku, toś nieźle zrobił, kiedy na ludzi i na świętych spojrzeć nie możesz i pomodlić się nie umiesz, co?.. A miałeś łaskę u Boga, bo cię oto napominał niepokojem i smutkiem, co w sercu nurtował.

— Cóż teraz począć tatulu? zapytał chłopak przekonany słowami starego.

— Co począć? poprawić się, przeprosić Boga i wrócić do Anki, bo inaczej pokoju i szczęścia nie znajdziesz i sroga cię kara w przyszłości czeka.

No, to pomóżcie mi w tem Grzelo, jeżeli wam Bóg miły, bo macie słuszność, że to tam sumienie tak mi w sercu świdruje, że to ja o tem pierwej nie wiedział, mówił z żalem.

— Boś nie chciał wiedzieć, odpowiedział stary: zaślepiony bogactwy pragnąłeś je posiąść z krzywdą sumienia.

Gdy to domawiał, wbiegła do kościoła matka Anusi i zawołała:

— Grzelo zmiłujcie się, obudźcie księdza proboszcza, by mają Ankę wyspowiadał, bo umiera, i kobieta załamawszy ręce, ryknęła płaczem.

W występne Stacha serce piorun uderzył na widok płaczącej matki, która z jego przyczyny traci jedyną pociechę w życiu, osłodę w nędzy i pomoc w starości. Zdało mu się, że w ołtarzach święci zadrżeli, że ich prawice podniesione mają zdrajce ukarać. Grzela również stanął oniemiały, taki mu żal się zrobiło dobrej i pięknej Anki i spojrzawszy pogardliwie na strwożonego chłopca, wyszedł po księdza proboszcza.

Wtedy wyrobnica ujrzała Stacha:

— Zmarnowaliście mi córkę, rzekła doń, niech wam Bog nie pamięta!

I we łzach rzuciła się krzyżem przed obrazem Matki Bolesnej, wołając:

O Matko sierot! poratuj mnie biedną, bo co ja teraz pocznę, bez mojej Anki pociechy jedynej.

Przyszedł nareszcie ksiądz proboszcz do kościoła po ŚŚ. Sakramenta, Grzela wziął dzwonek i poszli za wieś poprzedzeni płaczącą matką umierającej. Gdy we wsi posłyszano dzwonek, pytano ciekawie do kogo to? Do Anki odpowiedziano i wnet smutna nowina po całej wsi ubiegła i nie jedna dziewczyna żal w sercu czuła, że najgrawała się z miłości ubogiej sieroty, a tym, co odwiedli Stacha od Anki, również szepnęło w ucho sumienie: przysposobiliście trumienkę dla biednej wyrobnicy. Winowajca wyszedłszy z kościoła, nie wiedział gdzie iść i co począć z sobą, taki mu ból rozrywał piersi. Ależ niczem ból serca, niczem najcięższa choroba nad ten wyrzut sumienia, co szarpał umysł Stanisława! Oj lepsza śmierć nad to mili przyjaciele!

Nie wrócił on do domu, ale szedł i szedł jak szalony i nareszcie zatrzymał się pod cmentarzem, zkąd widać było ubogą chałupkę Anusi.

Właśnie i ksiądz proboszcz powracał od umierającej, dawszy jej na drogę wieczności rozgrzeszenie z małych przewinień, które niewinne serduszko Anusi obciążały.

Grzela zobaczywszy Stacha, zbliżył się doń i ostro zapytał:

— Co tu robisz niedobry chłopcze, trzeba było pierwej z żalem w sercu przyjść pod te progi.

— Tu mnie, odpowiedział chłopak, wskazując cmentarz zagrzebiecie z Anką razem, gdy ona umrze, boć trudno wytrzymać tej srogiej boleści.

— O w czas, krzyknął stary.

— A cóż Anka? zapytał Stanisław z obawą.

— Co? umiera, rzekł tatulo, ksiądz proboszcz chce posłać po doktora.

— Doprawdy, rzekł z radością, i na iskierkę nadziei łzy mu strumieniem z ócz popłynęły, a kto pojedzie?..

— Toć to sęk, odpowiedział Grzela, bo na probostwie koni dziś niema.

— To ja pojadę, powiedzcie księdzu proboszczowi, rzekł, i w moment bryczka zaprzągnięta parą rączemi końmi najętemi przez Stacha, powarczała traktem prowadzącym do pobliskiego miasteczka.

Nie wyszło dwie godziny, a doktór był już u Anki, zapisał lekarstwo i powiedział, że źle jest bardzo, ale jest nadzieja w Bogu, że lepiej będzie. Biedna matka Anki aż mu do nóg z radości upadła. I tak co parę dni Stach przywoził sam doktora, aż nareszcie Anka całkiem wyzdrowiała.

— A co teraz będzie? zapytał Grzela, gdy Anka już chodziła.

— Tatulu, podajcie mi jaką radę, żeby Anka była moją żoną.

— A co będzie z tamtą, coś jej przyrzekł żenić się? a co będzie z jej bogactwami o które takieś się dobijał, zaprzedawszy wstyd i spokój sumienia, czy i drugą oszukać zamyślasz nicponiu?

— Ej, rzekł chłopak skrobiąc się w głowę, tamtej jutro z innym zapowiedzie, bo jej ludzie powiedzieli, że mi żal Anki.

Grzela nic na to nie odpowiedział, ale na drugi dzień poszedł do Mateuszowej matki Anki i długo stary rozprawiał, nim go rozżalona dziewczyna widzieć pozwoliła i dała się przeprosić. Naznaczono dzień wesela, stary poczciwy Grzela zastąpił ojca pannie młodej i dał pokryjomu starej Mateuszowej pieniędzy na oporządzenie i wesele, mówiąc:

— Weźcie, nie wzdragajcie się, grosze co Grzela uczciwie zarobił, boby innego nie wpuścił do swojej ubogiej kieszeni. Nie mam go dać komu, bo moja poczciwa kobieta i dziatki miłe, nic tam za wrotami cmentarnemi nie potrzebują, niechże z niego korzysta sierota i jaką Zdrowaśkę zmówi za ich dusze.

I sute było wesele z łaski Grzeli, tak, że dziwowali się sąsiedzi i mówili: że stara Mateuszowa chowała grosz przed ludźmi. Na weselu śliczna była Anka, ale śliczniejszy Stach w szamerowanej sukmanie, z pięknym pasem i w czapce czerwonej z pawiem piórkiem. Zazdrościły dziewuchy Ance szczęścia, nie jedna zapłakała w kąciku, a wszystkie smuciły się, że nie będzie z kim w gospodzie oberka wywijać.

Po weselu na prożbę Grzeli ksiądz proboszcz u dziedzica Zadolina wyrobił, iż Stanisława obsadzono na pięknem gospodarstwie, a od księdza proboszcza dano rączego konika i piękną jałówkę.

Dziś Stanisław Wilk w Zadolinie jest najzamożniejszy z gospodarzy, a szczęście drzwia-

mi i oknami doń płynie. Pamięć zgryzoty sumienia i nauki poczciwego Grzeli, którego mąż Anki przed kilką laty własnemi rękami pochował, dały mu poznać, iż szczęścia innego nie ma na tej ziemi dla człowieka jak tylko w czystem sumieniu.

Chata Modrzewiowa.

(Patrz Nr Czytelni 21 z r. b.)

Po wygaśnięciu rodu panujących książąt wraz z Popielem, mówił następnie opowiadający, zebrali się Polacy nad jeziorem Gopłem, na *wieca* czyli *sejm*, na radę, co dalej robić i kogo na władcę wybrać. Kiedy tak radzą i jedni tego, drudzy owego podają, starcy osiwiali co w tym zebraniu przodek trzymali, doradzili, że wśród takiej niezgody najlepiej na los się spuścić, a kogo pierwszego ujrzą równo ze wschodem słońca płynącego na jeziorze, tego obiorą panującym księciem.

Wszyscy zgodzili się chętnie na to, przy rozpalonych ogniskach zasiedli i po wieczornej uczcie nad brzegami Gopła zasnęli, oczekując niecierpliwie poranku.

Jak noc była cicha i pogodna, tak po pierwszej zorzy, na śliczny dzionek, słońce poczęło wschodzić z za małego pagórka i odbijać się o krople bujnej rosy.

Zerwali się pierwsi starcy na nogi, a za niemi zebrany naród, patrząc ciekawie na spokojne zwierciadło Gopła, którego żaden wiaterek nie poruszał.

Niedługo ujrzano na lipowej łodzi płynącego starca, który miód podebrany ze swej pasieki przewoził.

Po wyniosłej postaci, po długiej siwej brodzie, poznano owego kołodzieja *Piasta*, co tak hojnie na postrzyżynach częstował i księcia Popiela i jego dworzan i wielu zebranych gości, którzy teraz na *wieca* przybyli.

Z radością wykrzyknęli go księciem, a wrzawa tysiąców głosów odbiła się daleko po jeziorze i za jeziorem.

Piast zdziwiony tak ogólnym okrzykiem, co był podobny do strasznego grzmotu, zatrzymał łódkę swą na środku Gopła i spojrzał na zebraną gromadę nad jego brzegami. Wtedy ujrzał, jak czapki w górę wyrzucano, jak go nawoływano po imieniu.

Przybija do brzegu co prędzej, otaczają go starcy wraz z całą gromadą narodu, uderzają czołem i mówią: „Ty będziesz naszym książęciem.“ Zaraz mu włożyli czapkę książęcą na głowę i płaszcz bogaty na ramiona, a kiedy chodaki z lipowego łyka chcieli zdjąć, on się odezwał niemal w tych słowach, jako stara pieśń mówi:

W lipowej korze zostawcie mi nogi,
Którą sam sobie zszywałem ubogi,
By ślad był wnukom i synom podany,
Jak niegdyś ojciec królów był ubrany.

Na tym Piaście kończą się moja dziatwo, dzieje Polski tak zwane *bajeczne*; luboć jego postać nie jest wcale zmyśloną. Był rzeczywiście Piast rolnik, a syn jego *Ziemowit* dopiero panować zaczął i od niego rozpoczyna się szereg panujących książąt i królów z rodu Piastów, którzy władali Polską przez lat pięćset z górą; a i później gdy naród chciał na króla rodaka, to wołał, że *my Piasta chcemy*.

Owóż, teraz wypada wam powiedzieć, jak to w owe czasy mogła wyglądać Polska, boć teraz żednego podobieństwa nie ma. Był to kraj lesisty, wodny i bogaty w łąki, a mniej polny. Ogromne puszcze ciągnęły się nieprzerwanym prawie ciągiem po mil kilkadziesiąt, a w nich zwierzyny pełno i tó jakiej zwierzyny!

Wielkie dzikie woły, z brodami, grzywiaste zwane *Tury* i *Żubry*, bujały swobodnie w nieprzejrzanych ostepach puszcz zarosłych, w których były takie miejsca, gdzie słońce od stu i dwustu lat nie oświeciło promieniem, bo modrzewie, buki, dęby i sosny, wierzchołkami swemi rozpinały tak gęsty namiot, że świt dnia nie potrafił się przedrzeć; kropla deszczu nie spadła, a burze górą przepływając grzmotem tylko strasznym wtrząsały rosochate gałęzie, lub gromy piorunów łamały je w drzazgi i wyrywały ognistym lemieszem, brózdy głębokie, najczęściej na olbrzymich dębach.

Wtedy lud, co nie znał prawdziwego Boga, tylko czcił wiele bożków, przyznawał *Perunowi*, któremu dąb był poświęcony, władzę rzucania na ziemię ognistych gromów. W tych lasach i puszczach, wybierał miejsca pod największemi drzewami, okopywał je wysokim wałem, tam schodził na swoje nabożeństwo, a w pobliżu grzebał zmarłych. Ale w owe

czasy nie chowano zwłok w trumnie, jeno na stosie palono przybrane trupy w ubiory odświętne, w zbroje, ze sprzętami różnemi, a po spaleniu zebrane prochy zsypywano w gliniane naczynia i zakopywano w ziemię.

Ztąd to dotychczas znajdujemy tyle garnków glinianych w rozmaitych kształtach po różnych stronach ziemi naszej, w nich popioły kości przepalone, a przytem, to okruchy szabli, to zbroi, to żelazców od strzały czy piki, to paciorki, iglice i różne ozdoby stroju niewieściego.

Na takie cmentarzyska pogańskie wybierano, w lasach piasczyste wzgórza, i w nich zakopywano te garnki zwane *urnami*, bo w piasku dobrze się przechowywały. Z czasem, kiedy bory i puszcze wycięto, odkryły się wzgórza piasczyste, a gdy wichura zakręci, co wy nazywacie *djablim tańcem* i zmiecie zwierzchne warstwy, wychylają się często same urny gliniane z popiołami umarłych przed wiekami.

Jeżeli wam się zdarzy kochana dziatwo, napotkać takie w ziemi pamiątki, to z uszanowaniem zawsze spoglądajcie na nie, bo to prochy naszych naddziadów, a pamiątkę zmarłych uczcić należy.

Dawniej po wielu okolicach takie bywało ich mnóstwo, że poszła bajka pomiędzy naszemi ludźmi, iż takowe garnki gliniane same się w ziemi rodzą. Ale jak się przypatrzono bliżej, poznano że to fałszywa gadka.

Miejsca te, gdzie grzebano spalone ciała w tych popielnicach, zwano *zgliszcza*, albo *żalniki*. Piękny to wyraz na oznaczenie cmentarza zmarłych, bo czyż taka cicha zmarłych ustroń, skropiona łzami, nieobudza w sercu żalu?

W rzekach, jeziorach i ługach wodnych pełno było ryb rozmaitego gatunku, jak ptastwa wodnego i leśnego. W ogromnych sosnach dzikie pszczoły, dawały bez pracy miód i wosk wyborny. Na łąkach i pastwiskach nieprzejrzanych hasały stada rączych koni, jak pasły się trzody bydła. Słowem Bóg dał wszelaki dostatek naszej ziemi, i niedarmo mówiono, że to kraina, mlekiem i miodem płynąca; bo nie brakło urodzajnych pól, gdzie zasiew oddawał plon bogaty. Ztąd też każdy rolnik, czy ten, co pilnował trzody, był zarazem tęgim myśliwym; a nie znając strzelby, prostym oszczepem albo spisą kładł u nóg swoich brodate żubry czy tury i kudłate niedzwiedzie. Z pierwszych miał mięso na pożywność, z drugich ciepłe futro na mroźne czasy. Jeleni stada, sarn, łosi i dzików, w każdej kniei by makiem zasiał.* Głodu więc nie było, a dostatek wszędzie.

Pomimo że krzyż Chrystusa nie był znany wtedy na ziemi naszej i przodkowie nasi byli poganami, naród cały jako rolniczy i pasterski, był charakteru łagodnego i poczciwego. Dlatego, kiedy pierwsi opowiadacze słowa Bożego zjawili się pomiędzy nim, lud łatwo łgnął do wiary Chrystusowej, bo ta nauka objawiała mu miłość, zgodę braterską i pracę.

Czcił oddawna i szanował cnotę gościnności. Podróżny każdy, wędrownik, ubogi, wszędy znajdował drzwi i wrota otwarte, a miejsce za stołem. Było to odwiecznym u naszego narodu przysłowiem, aby przyjąć gościa: *Chlebem solą, a zdobrą wolą.*

To też później za poznaniem wiary Chrystusowej, pobożni przodkowie nasi mawiali: *Gość w dom*, *Bóg w dom*; dając przez to do zrozumienia, że gościnność jest błogosławieństwem Bożem, a każdy gość, powinien być uczczony serdecznie.

Nie znano pisma, nie były też prawa pisane, ale zachowywano je przez podanie, jak to bywało dawniejszemi laty, a sąd starców rozstrzygał spory. Kiedy przestąpił próg twego domu, chociażby twój wróg nie wiem jak zaciekły, kiedy cię pozdrowił, prosił o schronienie czy spoczynek, a podałeś mu wedle obyczaju rękę, to już bezpieczny jakby za murem, bo gospodarz odpowiadał głową za całość swego gościa.

———

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 28 maja (9 czerwca) 1861 roku.